

Jan Maciejewski: Seksta. O syrenach w samo południe

Nadeszła godzina pojedynku. Nieważne czy jesteś stróżem prawa na dzikim zachodzie, samotnym mnichem na egipskiej pustyni czy Odysem przywiązany do masztu swego statku. Spotkanie, którego się obawiasz i pragniesz jednocześnie, a które musi nadejść tak czy tak, zbliża się wielkimi krokami – pisze Jan Maciejewski w siódmej części cyklu „Godziny”. Autor przechodzi z Odysem przez kolejne godziny Świętego Oficjum, od jutrzni do komplety. „Osiem przygód będących modlitwą, albo raczej osiem modlitw stających się przygodami. Ten sam obowiązek i namiętność – powrócić, skąd mnie wygnano i odzyskać, co utraciłem” – wyjaśnia swój zamysł.

Słońce praży niemiłosiernie, pot zalewa oczy, człowiek cały staje się ciałem. Dusza gdzieś uchodzi, jakby uciekała w poszukiwaniu cienia. Poczekaj, wróci, gdy zrobi się nieco chłodniej. Teraz jest tylko ciężar, głód i pragnienie. Bardziej niż wody chce się po prostu stąd uciec. Gdziekolwiek, byleby zboczyć z tej drogi, na którą wyjdzie zaraz uzbrojony w rewolwer przeciwnik, w swoje pieśni i ciała syreny, albo ubrany w złudzenie Szatan. Acedia, Demon południa, przychodzi zawsze w godzinie Seksty, między dwunastą a trzecią po południu. W ciągu tych samych trzech godzin, które Chrystus spędził na krzyżu. I mówi zawsze to samo: różnymi słowami, ale powtarza okrzyki stojących na Golgocie żydów: „zejdź z krzyża!”. Ulżyj sobie wreszcie, ucieknij. Nikt nie będzie miał do ciebie żalu. Już dość, wystarczy. No, daj spokój.

Jan Maciejewski „Już pora” (zamów)

Na plakatach reklamujących western wszechczasów, „W samo południe”, poza twarzą Gary’ego Coopera znajdowało się zdanie: „człowiek, który był zbyt dumny, aby uciekać”. Seksta to kompendium wiedzy na temat „co zrobić, by nie uciec”. Zostać przy tej pracy, w tym miejscu, tych ludziach. Gdy dochodzące zewsząd głosy wydają się tak przekonujące jak o żadnej innej porze dnia. Mówią o tym, że gdzieś tam jest coś ważniejszego do zrobienia. Ktoś kogo łatwiej i wdzięczniej byłoby kochać. Jakiś Kościół, z którego bliżej byłoby do Boga. Obowiązek, któremu prędzej można by sprostać. Nie tylko dni, ale losy ludzi i narodów również mają swoje seksty. Syrenie śpiewy. Czasami nie wystarczy zatkać uszu woskiem, należałoby jeszcze odpowiedzieć jakąś własną pieśnią:

„Rządco możny, prawy Boże,
Kolej rzeczy zmieniasz cudnie:
Świtem złocisz ranne zorze,
Żarem znaczysz nam południe.

Zgaś niezgodę, co rozpala,
Grzesznych żarów stłum porywy;
Sługom swym daj zdrowie ciała.
W serca – pokój wlej prawdziwy”.

Seksta opowiada więc o tym, co musimy zrobić, by nie zostać uwiedzionym przez pokuszenie. Mówi o Odysie przywiązany do masztu swego okrętu i jego towarzyszach, którym pozaklejał uszy woskiem. Oni mieli nie usłyszeć śpiewu syren, on – nie móc na niego

odpowiedzieć. Dołączyć do tych wszystkich, których szczątki kołyszą się tuż przy lub na brzegu syreniej wyspy. Przepływa obok nich w samo południe, przymocowany do masztu, który przecina w poprzek reja. Uniknął śmierci, bo w porę zawisnął na krzyżu.

Maksym z Turynu: „Jeśli więc mit opowiada o Odyseuszu, że przywiązanie do masztu uchroniło go od niebezpieczeństwa, to ileż bardziej głosić należy to, co stało się naprawdę, to znaczy o tym, że dzisiaj drzewo krzyża wyrwało z niebezpieczeństwa śmierci cały rodzaj ludzki? Odkąd bowiem Chrystus Pan został przybity do krzyża, odtąd jakby z zatkanymi uszami omijamy niebezpieczne pokusy; nie zatrzymuje nas bowiem zgubny głos doczesnego ani nie zbaczamy z kursu słusznego życia na zdradliwe rafy rozkoszy. Drzewo krzyża nie tylko przywraca ojczyźnie przybitego do niego Człowieka, lecz także cień Jego mocy chroni wszystkich zgromadzonych wokół Niego towarzyszy. (...) Tym bowiem czym maszt na statku, jest krzyż w Kościele, który sam nienaruszony wytrzymuje powabne, a zarazem zgubne katastrofy”.

Honoriusz z Autun: „Odyseuszem nazywa się mędrca. Bezpiecznie przepływa on obok niebezpieczeństw, jako że lud chrześcijański, prawdziwy mędrzec, nawą Kościoła przemierza morze tego świata. Bojaźnią Bożą przywiązuje się do masztu okrętu, to znaczy do krzyża Chrystusowego”.

Herrada z Landsbergu z kolei przedstawia Odyseusza w swoim „Hortus deliciarum” („Ogrodzie przysmaków”) opartego już nie o żaden tam maszt tylko po prostu o drzewo krzyża. W tle zaś to syreny rzucają się w morze z rozpaczą – wiedzą, że przegrały. Ich pieśń nie została

usłyszana, zagłuszyło ją coś innego. Są wściekłe jak każda femme fatale, którą pokonano jedyną dostępną jej ofierze bronią – obojętnością, wzruszeniem przywiązanych zawczasu do masztu ramion. Wiedzą, że za chwilę wybije trzecia, a wędrowiec nawet jeśli jakimś cudem się obejrzy, nie dosłyszcy już ich głosu. Pojedynek dobiega końca.

Jan Maciejewski „Nawiedzona przy końcu świata” (opowiadanie)

Nie pamiętam uszu Telemacha, ale kiedy zamknę oczy widzę jego matkę, trzymającą głowę dziecka na kolanach. W lewej ręce pojemnik z oliwą, w prawej – oddarty kawałek starej sukni. Zawsze te same, pewne i delikatne, koliste ruchy. Mycie, czesanie i ubieranie go zostawiała służącym. Dla siebie zarezerwowała tylko ten jeden, cotygodniowy rytuał. W czwartkowe poranki, z daleka od pałacu. Na ławce, na której nie usiadł chyba nigdy nikt poza nimi dwojgiem. Trzeba się było przedrzeć przez nieduży, ale zdziczały zagajnik. Rosły tam tylko małe, kwaśne jabłka; zaczynały gnić jeszcze zanim na dobre dojrzały. Dalej było już tylko urwisko, kawałek (malejący z biegiem lat) lądu i ławka. Musiała się tam znajdować jeszcze zanim się urodziłem, dużo wcześniej nim Penelopa przybyła na Itakę. Komu była potrzebna? Do czego? Deski zaczynały próchnieć, nie sprawiała wrażenie specjalnie stabilnej. A jednak to ją wybrała; taka właśnie była jej potrzebna.

Kiedy pierwszy raz poszedłem tam za nimi, wydawało mi się, że muszę ujawnić jakiś spisek. Nie pytałem jej, gdzie znikają; widziałem tylko twarze obojga, kiedy wracali wczesnym popołudniem do pałacu. Uspokojeni, może nawet trochę radośni. Nie patrzyli na siebie, witali

mnie bez słowa, jak zawsze, skinieniem głowy. Było coś, o czym mi nie mówili. Jakaś chwila, do której prawo miało wyłącznie ich dwoje. Czy to już można nazwać zdradą? Szedłem cicho, jak podczas polowania. Chowałem się za pniami drzew. Stali się tylko dwoma, rozmazanymi, białymi plamami na zielono-brązowym tle. Nie trzymali się za ręce, raczej też nic nie mówili, a jeśli już to przed siebie, słowami rzuconymi w przestrzeń, nie do siebie nawzajem.

Wychodząc z pałacu nie wymykali się ukradkiem ani też teraz nie chowali. Czy nie wiedzieli, że któregoś razu pójde ich śladem? A może na to czekali? Nigdy nie zdobyłem się na odwagę, nie wyjawilem, że znam ich tajemnicę. Nawet nie wiem czy tak też by to nazwali.

Docierali na miejsce zawsze koło południa. Ona siadała pierwsza, zapraszała potem chłopca spojrzeniem. Siadał po drugiej stronie ławki i bez słowa kładł lewy policzek na jej kolanach. Rozwiązywała przyniesione zawiniątko, wyjmowała z niego materiał i oliwę, zaczynała przemywać mojemu synowi uszy. Najpierw na zewnątrz, wokół małżowiny, potem wkrapiła kilka kropel do środka. Kiedy siadał wycierała jego twarz. Następnie zmieniali się stronami, a opierał tym razem prawy policzek o jej uda. Żeby zobaczyć to wszystko musiałem zakraść się bliżej granicy zagajnika, ale dalej od nich, żeby patrzeć na nich pod kątem. Cały czas siedzieli bowiem twarzą w kierunku morza. Nie wstawali od razu. Czasami kilka minut, kiedy indziej ponad godzinę, rozmawiali ze sobą. Nawet gdybym stał dużo bliżej i tak nie usłyszałbym co mówią. Morze zagłuszało nie tylko brzmienie, ale nawet odgłos ich słów. Wiedziałem, że nie milczą, bo coś się działo z ich ciałami, stawały się jakieś miększe, bardziej rozluźnione. Nikt nie jest w stanie zbyt długo milczeć w swoim towarzystwie, nawet syn i córka. Nawet mąż i żona. Po jakimś czasie gęstnieje wokół takiej dwójki

aura niewypowiedzianych słów, niewyrażonych lęków i tęsknot. Spowija ich jak mgła, powoli przestają widzieć siebie nawzajem; dla świata stają się wręcz niewidzialni.

Kucnąłem w najciemniejszej części małego lasu, łaskotały mnie po głowie i nogach maleńkie pajęczki. Zastygałem; trwałem tak nieruchomo, że gdyby przesiedzieli na ławce cały dzień, spowiłaby mnie pajęczyna. Starąłem się nie oddychać, pozwalałem powietrzu przepływać przeze mnie; za nic w świecie nie mogli mnie zauważyć. Nie teraz, kiedy dowiedziałem się o nich czegoś, co zapamiętam do końca życia. Że istnieje między nimi czułość tak czysta i intensywna zarazem. Ten gest, przemywanie uszu, był tylko pretekstem, ale jedynym w swoim rodzaju, nic innego nie mogłoby go zastąpić. Nie mogli się spotkać w żadnej innej części jej ani jego ciała. Jej dłonie – ich mimowolne, ale wyczuwalne nawet z miejsca, w którym stałem, drżenie; jego uszy, rozchodzące się od nich wzdłuż karku, dużo głębiej niż docierała oliwa, mrowienie.

Samego mnie to zaskoczyło, ale nie stali mi się dalecy przez to, że odkryłem ich wzajemną bliskość. Ten gest – jej czułość, jego błogość – dotyczył, dotykał też mnie. I to dlatego, nie z jakiejś urojonej zazdrości, śledziłem ich od tamtej pory. Moje ręce drżały razem z dłońmi Penelopy, po moim ciele rozchodziła się dziecinna, bezradna rozkosz Telemacha. I chociaż to na pewno złudzenie, byłbym przysięgł, że słyszałem odtąd dużo wyraźniej.

Nie pamiętam uszu Telemacha, tylko dłonie Penelopy. Próbuje użyć coś z ich delikatnej pewności siebie, kiedy rozgrzewam i ugniatam wosk. Każe im położyć głowy na moich kolanach - najpierw z lewa,

potem z prawa. Krzyczę potem, wyrzaskuję obelgi i skanduję resztki, ostatnie skrawki pamiętanych pieśni. Upewniam się czy są wystarczająco ogłuszeni. Jeśli nie – dopycham wosk, wwiercając w ich uszy mały palec. Nigdy wcześniej ich nie dotykałem. Nie tak. Po raz pierwszy myślę o nich jak o dzieciach. A przecież od tylu lat odpowiadam za nich; są ze mną, dużo dłużej niż ja byłem przy Telemachu. Dopiero ten gest. Ich policzki na moich udach.

Teraz to oni się mną zaopiekują. Najpierw zwiążą ręce i kostki. Następnie przymocują moje ciało do masztu. Będę ich zachęcał, by nie mieli dla mnie litości. Nie wystarczy, że nie będę mógł się poruszyć. Muszę przywierać do masztu, wtulać się weń jak dziecko w dno kołyski. Muszę być bezradny jak niemowlę. Jak dziecko, które pragnie swojej matki albo nienawidzi obcego. I byłoby w stanie osiąść kobietę i zamordować człowieka, a wszystko jednego wieczoru, gdyby nie to, że jego ręce są za krótkie, a nogi nie potrafią stanąć.

Nie byłem już wodzem, przestałem być podróżnikiem. Moi ludzie odwracają twarze, nie chcą na mnie patrzeć. Być może dlatego, że boją się, iż zaraz zacznę ich zaklinać, błagać żeby rozciąli pęta, ale na to będzie jeszcze przecież czas. Myślę, że się za mnie wstydzą. Boją się, że mimowolnie ich twarze mogłaby wykrzywić drwina. Dlatego wpatrują się w tafłę wody, świdrują wzrokiem wiosła, jakby widzieli je pierwszy raz na oczy. Skupiają się na wykonywanych ruchach, jak gdyby było w nich cokolwiek skomplikowanego. Przynajmniej mogą się ruszać, otrzeć kroplę potu ściekającą wzdłuż nosa aż do ust. Ja mogę tylko wykrzywiać twarz, jeszcze bardziej upodabniając się do niemowlęcia.

Przed chwilą wśród umarłych, teraz zaczynam być dzieckiem. Moje plecy drżą – nie ma to nic wspólnego z przyjemnym, rozleniwiającym mrowieniem. Kiedy (jeśli?) już mnie rozwiążą, padnę bezwładnie na pokład. Ale do tej chwili jeszcze daleko, słońce dopiero zaczęło wędrówkę w dół. Rozciągnięty na maszcie, czekam na pierwsze dźwięki kołysanki.

Jan Maciejewski

Wszystkie teksty Jana Maciejewskiego w Teologii Politycznej